RENEGAT.

DRAMAT W PIĘCIU AKTACH

— PRZEZ —

HENRYKA HR. ŁĄCZYŃSKIEGO.

CHICAGO, ILL.
NAKŁADEM I DRUKIEM W. DYNIEWICZA,
1892.

RENEGAT.

DRAMAT W PIĘCIU AKTACH

— PRZEZ —

HENRYKA HR. ŁĄCZYŃSKIEGO.

CHICAGO, ILL.
NAKŁADEM I DRUKIEM W. DYNIEWICZA,
1892.

OSOBY:

Lutowidzki, prezydent.
Zenon, syn Lutowidzkiego *(25 lat).*
Kasztelanowa Żmińska, *(65 lat).*
Stanisław, syn Żmińskiej *(23 lat).*
Dąbrowa, *(80 lat).*
Nałęcz, Ostoja, drużbowie.
Helena, córka Dąbrowy *(18 lat).*
Piegórski, doktór Żmińskiej.
Walenty, stary sługa Stanisława.
Lysocki, Zabielak, Borszczyński, Durbański, Myszkowski, Dobylański, Grotermund, Bartek Kuźma, Jaśko Step, kilku Flisaków, Spiskowi.
Sekretarz Lutowidzkiego.
Dwie Drużki.
Komisarz.
Oficer.
Żandarmy. — Kosyniery. —
Uczniowie wojskowej szkoły. —
Wojsko, Służba.

Rzecz dzieje się w Warszawie w 1830 r.

AKT I.

(Sala w stylu gotyckim, w głębi duże drzwi do Kaplicy, dwoje drzwi bocznych, lewe do przedsionków. Umeblowanie starożytne. Oświetlenie balowe).

SCENA I.

Zmińska — Dr. Piegórski.

Zmińska (*siedzi w dużem krześle, pochylona wiekiem i chorobą*).

Dr. Piegórski, (*stoi obok z poszanowaniem*).

Zmińska (*słabym głosem*).

Ach! jak czas ten długo się wlecze Oby Bóg mi zezwolił sił do tego aktu. Ustalenie losu Stanisława było mojem najgorętszem życzeniem, dziś już mogę umrzeć Doktorze, pobłogosławiwszy syna mego najdroższego.

Dr. Piegórski.

Pani Kasztelanowa żyć będziesz, dla szczęścia syna, siły powrócą.

Zmińska (*z goryczą*).

Ty wiesz najlepiej Doktorze iż siły moje już od dawna stargane; śmierć męża, burze polityczne, i niedola Ojczyzny dobiły mnie moralnie wkorzeniwszy chorobę nie do uleczenia. Każda chwila jest mi policzoną.

Dr. Piegórski.

Nie trzeba mieć czarnych myśli — zaufaj mi Pani — wszak od lat trzydziestu mam zaszczyt być jej lekarzem.

Zmińska (*podając mu rękę*).

Byłeś przyjacielem męża i jesteś moim; ufam ci Doktorze jak bratu, lecz czuję, że dziś wyleczenie byłoby cudem, a ty cudów nie tworzysz, leczysz ciało, lecz gdy dusza uleci, z ciała proch zostanie.

Dr. Piegórski (*podając krople*).

Niech Pani zażyje, to ułagodzi cierpienie.

Zmińska (*pijąc*).

Niespokojną jestem o Stanisława. On powiniem już tu być pierwszy, w dniu dla niego tak solennym.

Dr. Piegórski.

Manewry na placu Saskim zatrzymały go do zmroku, zapewne się przebiera i wnet przybędzie.

Zmińska.

Zapomniałam iż dziś Książe robił przegląd i boję się....

Dr. Piegórski.

Byłem tam, syn Pani Kasztelanowej uszedł cało, lecz wielu jego kolegów uległo surowości Księcia.

Zmińska.

Słyszałam o okropnych nadużyciach, jakie się dzieją w tej cząstce naszej biednej krainy. Lutowidzki więzi i pastwi się nad ludem. Minister Skarbu obdziera bez miłosierdzia. — Smutnych doczekaliśmy czasów Doktorze, dziś nie warto już żyć na świecie, gdyż niema nic świętego. — Z upadkiem Ojczyzny — Bóg zapomniał o nas!....

Dr. Piegórski.

Bóg niezapomina o tych, którzy rąk nie opuszczają!... Niebo zakryte chmurami wisi

nad krajem — lecz silny powiew wiatru rozproszy je i znowu zabłyśnie światło szczęścia.

Zmińska.

Lecz nim słońce zejdzie, burza zdruzgoce nasz slaby statek.

Dr. Piegórski.

Są jeszcze u nas ludzie, którzy szczerze pracują nad oswobodzeniem Ojczyzny, a spokój i uległość bezprawiom, które dziś cechują upadek ducha, kto wie czy nie są sztucznemi manewrami do uśpienia lwa przed jego zagładą (*bije 8 godz.*) Już ósma, chwila stanowcza się zbliża, Boże dopomóż!.... i daj sił do przetrwania!

Dr. Piegórski *(podając krople).*

Pani Kasztelanowa powinnaś unikać wszelkich gwałtownych wstrzęsień, potrzeba spokoju, a znając pannę Helenę z cnót rzadkich; ojca jej jako najzacniejszego w kraju, pocóż się tak przejmować tym aktem, który może li zapewnić spokój i szczęście familii.

Zmińska.

Ty nie domyślasz się Doktorze jakie chorobliwe przeczucia miotają mą duszą, wiesz iż

syn Lutowidzkiego kocha się w Helenie; dostawszy odmowę, gotów się zemścić i to w dzień ślubu.

Dr. Piegórski.

Ślub ma się odbyć bez rozgłosu i oprócz kilku przyjaciół Dąbrowy, nikt z obcych nie będzie. Z kobiet moja córka i kuzynka Heleny, za te ręczę — tajemnica wydać się nie może.

SCENA II.

Ci sami, — Stanisław.

Stanisław *(w ubiorze wojskowym wbiega drzwiami lewemi i klęka przed matką).*

Matko!.... Matko najdroższa!.... Tyś wstała z łóżka... aby uświęcić dzień dla mnie tak szczęśliwy!

Zmińska *(całuje go w czoło).*

Wiesz drogi Stasiu iż twoja matka ciebie ma jednego na tym świecie.

Stanisław.

A Staś jedyną opiekunkę, której zdrowie jest mu najdroższe. Jak się miewasz matusiuteczko?

Zmińska (*siląc się na wesołość*).

Dobrze: dzisiejszy dzień pokrzepił mi siły.

Stanisław.

Droga Matko! cóż to za radość dla mnie, (*do Doktora ściskając mu rękę*). Ale Pańskiej córki nie widzę?

Dr. Piegórski.

Przybędzie wraz z twoją przyszłą kuzynką (*n. s. do Stanisława*). Czy nikt nie wie o dzisiejszym ślubie?

Stanisław (*n. s.*)

Czy się obawiasz Doktorze?

Dr. Piegórski.

Wszak ci mówił pan Dąbrowa iż nieżyczy sobie rozgłosu.

Stanisław (*n. s.*)

Uczyniłem według jego woli (*głośno*). Słyszysz!! szmer u przedsionka, to nasi goście, (*ubiega na lewo*).

Zmińska (*wstając chwiejnie*).

Już przybyli — prowadź mnie Doktorze, chcę ich przyjąć po dawnemu (*idąc ku*

drzwiom lewym z Doktorem). Witam!... Witam!... moich kochanych gości.

SCENA III.

Ci sami, — Dąbrowa, Helena, Nałęcz, Ostoja, Dwie Drużki.

(*Stanisław prowadzi Helenę. Dąbrowa w stroju narodowym. Nałęcz i Ostoja w uniformach pułków polskich*).

Dąbrowa.

Pani Kasztelanowa rozkazała (*całując rękę*) i stało się według jej woli.

Żmińska (*ściskając rękę Dąbrowy.*

Pozwoliłam sobie wbrew zwyczajowi zaprosić was do mnie, chora ma swoje przywileje, a mój przyjaciel wraz z swem lubem dzieckiem przebaczą mi, (*zwracając się ku Helenie — Helena się kłania*). Nie jest to kaprys starej kobiety, Doktór zabronił mi wyjeżdżać, a ty Helenko nie gniewasz się na mnie, iż poważyłam się wejść w twoje prawa.

Helena (*całując rękę Zmińskiej*).

Pani Kasztelanowa....

Zmińska *(przerywając z wyrzutem).*

Przestałam być dla Ciebie Panią Kasztelanową *(ściskając ją)*, od tej chwili nazwij mnie matką.

Helena *(klękając przed Żmińską).*

Droga matko!... Ach jak dawno już nie wymawiałam tego wyrazu!.... Jak słodko mi go dziś wygłosić!

Dąbrowa.

Staraj się Heleno abyś stała się godną tej zacnej Matrony, czyniąc Stanisława szczęśliwym a wywdzięczysz się za przyjęcie w dom tak serdeczny.

Stanisław *(całując ramię Dąbrowy).*

Helena jest Aniołem; o siebie się boję, czy pomimo mych usilnych starań potrafię ją ocenić, *(rozmawia czule z Heleną).*

Zmińska *(idąc do krzesła wsparta na ręku Doktora).*

Przebaczcie Panowie, ale siły cierpieniem i latami zwątlone, muszą się poddać smutnej konieczności, *(siadając — do Nałęcza)*. Oczekiwaliśmy Was od dawna w stolicy.

Nałęcz.

Interesa ważne zatrzymywały mnie, a przyznać muszę, iż przy dzisiejszych stósunkach, serce się wzdryga a duszy za ciasno w sferach naszego miasta i gdyby nie szacunek głęboki dla Pani Kasztelanowej...

Zmińska.

Wierzę w przyjaźń Waszą, i pojmuję niechęć ku naszej biednej stolicy, która dziś wygląda jak Oblubienica strojna w kwiaty w dzień pogrzebu Matki.

Nałęcz.

Za czarne są myśli Pani Kasztelanowej; prawda nieszczęścia przygniatają kraj nasz, lecz może Bóg da, iż nauczeni przykładem Ojców w chwili stanowczej łączyć się będziemy.

Dąbrowa.

Syn Pani jest chlubą naszej młodzieży z uczuciem wiary, sercem szlachetnem i gdy takich będziemy mieli więcej, śmiało rzec mogę, iż ten stan gorączkowy oczekiwań lepszej doli — zmieni się w krótkim czasie.

Zmińska (*do Stanisława*).

Czy zasłużyłeś sobie na to Stanisławie.

Stanisław.

Przyjaźń naszego Ojca, przesadza wartość mą osobistą. Miłość Ojczyzny wyssałem z piersi twojej matko, resztę wpoiłaś wychowaniem, a dziś (*ściskając rękę Heleny*) kto takie serce ma przy swojej piersi. ten może śmiało (*wskazując Dąbrowę, Nałęcza i Ostoję*) wsparty przykładem waszym, dążyć do celu z otuchą.

———

SCENA IV.

Ci sami.

Walenty (*w ubiorze narodowym*).

Walenty.

Ksiądz Hiacent oczekuje w kaplicy.

Stanisław (*podając rękę Helenie*).

Matko pobłogosław Twe dzieci (*klękają przed Żmińską — Adagio organ*).

Żmińska (*kładąc ręce na ich głowach*).

Niech Was Bóg prowadzi tą nową drogą w zgodzie, miłości i szczęściu, a przytem nie zapominajcie długu, który każdy Obywatel zaciąga i wypłacić powinien Ojczyznie. (*Helena i Stanisław zwracają się do Dąbrowy*).

Dąbrowa.

Oby najwyższy dopomagał Wam i umocnił błogosławieństwo Matki, do którego ja moje łączę.

Zmińska.

A teraz chodźmy.

Stanisław *(patrząc czule na Walentego).*

Jeszcze chwilę, — pozwolicie iż ten — co od dzieciństwa mnie pieścił, wyuczył szermierki, wsadzał na pierwszego konia; stary nasz poczciwy Walenty pobłogosławi nam.

Walenty *(ocierając łzę radości).*

Panicz o mnie nie zapomniał (*schyla się do kolan młodej pary*) serce starego Walentego pęknie z radości. Oby Wszechmocny Was strzegł i zlał na Wasze głowy wszelkie błogosławieństwa nieba. Matka Częstochowska niech Was broni od złych przygód, oby wszystko się wiodło, a stary Walenty umrze spokojnie. (*Walenty nadsłuchując wychodzi drzwiami bocznemi. Słychać szamotanie w przedsionkach*).

———

SCENA V.

Ci sami.

Zenon *(w ubiorze wojskowym, wpada odpychając służbę, i zatrzaska z wściekłością drzwi za sobą).*

Dąbrowa *(ostro).*

Co Pan tu robisz?

Zenon *(z ironią).*

Przyszedłem na weselne gody *(wskazując na Stanisława)* choć mnie mój kolega zaprosić nie raczył.

Stanisław.

Mój Panie! Obelgi nie ścierpię.

Helena *(n. s. cicho, zatrzymując go).*

Jeźli mnie kochasz ustąpisz.

Zmińska.

Zaklinam Cię na wszystko, uspokój się.

Zenon *(n. s. do Stanisława).*

Później się rozmówimy inaczej, *(głośno drwiąc)*. Ma słuszność mój kolega, musi wam to ubliżać, że się poważył stanąć w gronie tak patryotycznem, syn Wiceprezydenta i Dyrektora bezpieczeństwa!... tego potworu... Rene-

gata jak go zwiecie! który widząc jedyne zbawienie Ojczyzny w związku z silnem państwem, niedozwala Wam mącić spokoju publicznego.

Dąbrowa.

Któż zamąca spokój?...

Doktór (*przerywa mówiąc na ucho z perswazyą*).

Zenon (*niezważając na Dąbrowę*).

Schylonych nad przepaścią zagłady powstrzymuje i naprowadza na drogę rozsądku, broni Waszej spokojności, jest stróżem waszego mienia.... to wszystko robi z poświęceniem bez granic li na podstawie miłości kraju i współbraci.... A Wy...

Stanisław.

Ten.... ton.... (*Helena go powstrzymuje*).

Zenon.

A wy porównywacie go z dzikiem zwierzęciem.... obrzuciliście błotem.... ciskając mu w zamian wdzięczności, — pogardę... którą i ja w spuściznie otrzymałem. Pani Kasztelanowa i pani Dąbrowa jednocześnie raczyliście wymówić mi dom — dowiedziawszy się o mem

nazwisku, z którem jak z grzechem lub zbrodnią kryć się musiałem wprzód za granicą, aby nie być palcem wytykanym przez współrodaków, (*do Heleny*). A Panna Helena przyjmując łaskawie Zenona...

Stanisław.

To jest fałsz! Helena zawsze była dla Pana obojętną.

Helena.

Na to mogę przysiądz.

Zenon.

Czegoż mnie Pani przyjmowała?

Helena.

Za granicą przyjmuje się każdego rodaka.

Zenon.

Nie wierzę.... to są wymówki, Pani wiedziałaś, że cię kocham... Kobiety są zbyt przenikliwe aby nie przeczuły co się dzieje w sercu, — lecz Pani naigrawałaś się z mojej miłości, a doprowadziwszy wprzód do szaleństwa dziś -- gardzisz synem Lutowidzkiego... Tak! masz pani słuszność, ja nie mogę.... niepowinienem mieć serca... miłość nie jest

mi przeznaczoną; — nienawiść!.... okrucieństwo!... i zemsta — jest mi dziś świekrą, — szlachetne uczucia samiście przytłumili! Bądźcie więc przeklęci!...

Dąbrowa.

Wychodź Pan!

Stanisław *(wyciągając na wpół pałasz).*

Tego już nadto!

Zenon *(sucho).*

Będzie czas mój Panie, *(z ironią)* teraz sprawiaj wesele. Panno Heleno, czas nagli... narzeczony czeka, *(śmiejąc się szyderczo).* Ha! ha! ha!... lecz brakuje gości weselnych, wnet wam ich nadeślę, *(wybiega środkiem).* *(Wszyscy w osłupieniu: dwóch służących otwiera drzwi od kaplicy, — wewnątrz oświecony ołtarz z boku niewidzialny, organy dają się głośniej słyszeć).*

SCENA VI.

Ci sami, oprócz Zenona, później Walenty.

Zmińska *(załamując ręce).*

O Boże!... Mój Boże!.... przeczucia się sprawdziły! *(siada osłabiona na fotelu).*

Dr. Piegórski (*zbliżając się bierze Zmińskiej rękę*).

Zmiłuj się Pani!... bądź spokojną, miej litość nad sobą!

Dąbrowa.

Nie przerażaj się Kasztelanowo, on szalony.

Stanisław.

Bądź dobrej myśli matko, jego miłość zaślepia, on się opamięta.

Helena (*do Stanisława*).

Jam przyczyną wszystkiego, nie narażaj się; zostaw mnie losowi, (*w rozpaczy n. s.*) O Boże! serce mi pęknie — a przecież powinność nakazuje, (*głośno*). Nie! Nie! Stanisławie za stanów się!... jeszcze czas!.... rozważ.

Stanisław.

Ja ciebie kocham!.. ubóstwiam, Heleno!.. i żadna nadludzka siła mi cię niewydrze. (*Dąbrowa, Nałęcz, Ostoja, rozmawiają żywo. Szmer w przedsionkach*).

Źmińska (*n. s. półgłosem do Doktora*).

Słabo mi doktorze, ćmi się przed oczyma, czuję puls silniejszy, (*głośno*). Chodźmy.

Spieszmy do Kaplicy, (*do Nałęcza i Ostoi*). Podajcie rękę Pannie młodej, (*do drużek*). A wy Stanisława prowadźcie, (*wstaje, opiera się z trudnością na ręku Doktora, słabym głosem*). Źle ze mną Doktorze, tylko wola sił dodaje, (*głośno*). Pani Dąbrowa czekam.

(*Coraz głośniejsze stąpanie i szczęk broni, Dąbrowa podaje rękę Żmińskiej.... organy cichną chwilowo*).

Walenty (*wpadając z przerażeniem*).

Uciekajcie!.... Żandarmi!...

Żmińska (*cofając się z drżeniem*).

Gdzie?! są tu? O matko Częstochowy, ratuj mego Stasia! — moje dziecko jedyne!.... (*Drzwi lewe od przedsionków otwierają się z łoskotem i wpadają Oficer i dwóch Żandarmów*).

———

SCENA VII.

Ci sami, — Oficer — Żandarmi.

Oficer (*oddając papier Stanisławowi*).

Panowie Żmiński, Dąbrowa...

Zmińska (*przerywając — w rozpaczy*).

Mój syn?... Da... ruj... cie! On niewinny! (*słania się za Dąbrowę i Doktora*).

Oficer (*zimno*).

Panowie Źmiński, Dąbrowa, Ostoja i Nałęcz są aresztowani w imieniu....

Źmińska (*w malignie*).

Co?... aresztowani?... (*wyciągając drżące ręce do Stanisława*). Uciekajcie! Stasiu mój luby!.. (*podnosząc głowę w przewidzeniu, patrząc w jedną stronę*). Widzicie tam bagnety!.... kajdany. . lochy podziemne!... O Boże!... krew się leje!.... niewinna krew!.... (*pada na krzesło w omdleniu*).

Helena (*błagalnie do Oficera*).

Ja zawiniłam!... mnie bierzcie! (*padając do nóg Źmińskiej*). Matko! matko droga....

Stanisław (*klękając przy matce*).

Matko uspokój się!.... Błagam Cię!...

Dr. Piegórski (*do Oficera*).

Ustąpcie Panowie na chwilę, zabijecie tę staruszkę.

Oficer.

Mam polecenie w tej chwili aresztować tych Panów w imieniu Księcia, jako należących do stowarzyszenia patryotycznego. Rozkaz dał

pan Lutowidzki, Wiceprezydent. — Proszę Panów ze mną. (*Natęcz i Ostoja oddają pałasze*).

Dąbrowa (*n. s. do Doktora*).

Doktorze weź w opiekę Helenę.

Doktór.

Możesz pan być spokojnym (*wszyscy otaczają Żmińską, zasłaniając Żandarmów*).

Zmińska (*otwierając oczy*).

Już ich niema.... Bądź zdrów Stasiu! już mnie nie obaczysz! Błogosławię Wam!

Dr. Piegórski (*n. s.*)

Obawiałem się gwałtownych wstrzęsień, życie uchodzi.

Stanisław (*spokojnie*).

Chwilę jeszcze, sam pójdę, (*oddaje pałasz Oficerowi. — Organy słabo aż do końca aktu*).

Żmińska (*otwierając oczy spostrzegłszy Żandarmów*).

Są tu?... (*Żandarmy biorą Stanisława, Dąbrowę, Ostoję i Natęcza*).

Stanisław (*idąc*).

Bądź zdrowa matko, wnet powrócę.

Zmińska (*wstając z krzesła ostatecznemi siłami*).

Sta ... siu... dro... gi... (*wyrywa się z rąk Doktora, idąc ku żołnierzom z wyciągniętemi rękami*) Daruj... cie... (*pada na środku sceny przed Oficerem i Stanisławem*).

Stanisław (*wyrywając się*).

Przeklęci!... (*z bólem szalonym*). O matko najdroższa!.... (*klęka przy niej — wszyscy w przerażeniu — Helena mdleje*).

Dr. Piegórski (*przykładając rękę do serca*).

Jedna ofiara więcej.... Nie żyje...

Zasłona spada.

KONIEC AKTU PIERWSZEGO.

AKT II.

(Komnata u Lutowidzkiego, jedne drzwi po lewej, drugie w głębi, stół duży pokryty zielonem suknem, wokoło krzesła, u przodu po prawej stronie biuro zarzucone papierami, — fotel).

SCENA I.

Lutowidzki (*sam, siedzi przy biurze w czarnym surducie, pisząc głośno*).

Sprawozdanie śledcze towarzystwa patryotycznego, (*kładzie pióro*). Teraz dopiero zaskarbię sobie łaskę, gdy się wykryje cały szereg spisków. Książe mi sprzyja, Minister Skarbu nieżałuje funduszów krajowych na cele śledcze, a tam wyżej uznają me zasługi i zaślą dowody wdzięczności w ślad (*otwierając pudełko misterne*) za tym zwiastunem który mi dziś Książe wręczył, (*wpinając order od dziurki surduta*). Pięknie wygląda... a już dawno wzdychałem do tej odznaki, która mi się słu-

sznie należała, (*w zamyśleniu*). Praca to straszna, cacko je popłaca; w podziemiach jęczą setki mych braci... Czemuż swe mrzonki mają wciąż na celu? Słabość się wzmacnia w sojuszu z mocnemi, ten ścisły związek Ojczyznę mą zbawi i mnie wysoko nad innych podstawi, (*po pauzie*). Lecz gdy się mylę? Ot, głupstwo!. . nie, nie; idźmy dalej naszym torem — wszak dziś już za późno marzyć o wolności... tak... tak... za późno.... (*przeciągając ręką po czole*). Zenon mnie martwi, — od chwili ślubu, który zakończył się tak tragicznie... smutny, zamyślony, kryje się przed ludźmi!... Dziwak, zakochał się, poddałem mu zemstę, która wprawdzie i mnie posłużyła do podniesienia się w oczach Rządu, sam w dobrem świetle przedstawił się, — może dojść do dostojeństw zaszczytów i krzyżów, a on wymówki mi czyni, chodzi jak potępieniec.... (*Wchodzi Zenon*).

SCENA II.

Lutowidzki — Zenon.

Zenon (*chmurny i blady*).

Raz jeszcze przychodzę prosić Cię o łaskę.

Lutowidzki (*chowając spiesznie order*).

Wszak dałem pozwolenie Pannie Helenie odwiedzenia ojca... czemże innem mogę jeszcze służyć?.... Czy masz znów spiskowych?

Zenon.

Nie urągaj Ojcze boleści syna, pomnij iż palec sprawiedliwości wyższej, może Cię dotknąć. — Nie przyłożywszy ręki do wyśledzenia tych nieszczęśliwych, powodowany li gorącem uczuciem, które zrodziło chęć zemsty — w niej zaślepiony, nie wiedziałem co czynię. Tyś potrafił z tego skorzystać — gody weselne zamieniłeś w pogrzeb!.... O to okropne! (*załamując ręce*). Dziś widma wciąż krążą około mnie — widzę tę nieszczęśliwą staruszkę z rozdartem sercem.... a każda kropla krwi, pada żarem na moją duszę paląc wiecznym ogniem!... Tam w lochach jęczą twoje ofiary, bez chleba... i pościeli... Ojcze... Ojcze!... niechciej przekleństwa twego syna!... ulżyj sumieniu!.... wypuść niewinnych!... Błagam Cię!... (*klęka*).

Lutowidzki (*podnosząc go*).

Przestraszasz mnie synu, stan twój graniczy z szaleństwem. Czyż zapomniałeś iż ci za

któremi prosisz, odtrącili cię haniebnie? pogardzili!... Czegoż się możesz po nich spodziewać? Zemsta zemstę rodzi — zostaw ich losowi. — Oni sami w czasie poznają błąd swój widząc kraj silny i szczęśliwy.

Zenon.

Nie jestem już młokosem Ojcze, abym uwierzył w ślepo w to, co się sprzeciwia przekonaniu. Wychowałeś mnie od dziecka za granicą, kazałeś ukrywać nazwisko, które abym nigdy był nieusłyszał!.... Dlaczego żeś to uczynił? Otoczywszy mnie zbytkiem, nie żałując na moje wychowanie, — chciałeś usunąć hańbę imienia, które ze zgrozą wymawiane słyszałem często, w ustach każdego rodaka. — Czyż szczęście kraju rodzi ogólną nienawiść? Więzienia pełne. — Wygnańców Sybir pomieścić nie może.... Lud ubożeje a skarb wzbogaca się łzami wdów i sierót, aby miał źródła przepłacenia ciemięzców i szpiegów... Stawiacie gmachy, lecz te mury zbudowane na fundamentach tyranii — tworzą li parawan Waszych bezprawi przed Europą, której przedstawiacie stan świetnej wolności i bogactw!... Oto jest obraz, który chcesz objąć w ramy

złotej przyszłości, pełen nędzy, przekleństw i grobów!...

Lutowidzki *(z ironią).*

Pięknie, ślicznie, przewybornie mój synu, mówisz jak Kato, będzie z ciebie słynny mówca i nieżal mi kosztów łożonych na wychowanie. Możesz li zawdzięczyć twej wymowie cierpliwości z jaką słuchałem twoich bredni.... Szczęściem, iż kto niepodsłuchał, byłbym zmuszony własnego syna kazać uwięzić, aby tam w spokoju przyszedł do rozsądku.

Zenon *(cofając się ze zgrozą).*

Ty?... Ty!... Ojcze?... Więc już zaślepienie i niepohamowana żądza godności, orderów i zysków, doszły do kresu, w którym i syn dla ciebie przestaje być synem? Ha!... Masz słuszność Panie; jeden ciężar spadnie z serca mego, nie nazywam się Lutowidzki... przybieram inne nazwisko, pod którem niewykryjesz mnie nigdy, pomimo zręczności twych siepaczy, *(odetchnąwszy).* Teraz zdaniem mojem będzie zmazać choć częściowo winę, którą nierozsądny krok zemsty kierował.... Niedolę współbraci podzielę i w obronie Ojczyzny poświęcę całą mą istność, a ostatnią kroplę krwi

wysączę dla dodania jej blasku i świetności... (*rzucając order do stóp Lutowidzkiego wybiega drzwiami w głębi*).

Lutowidzki (*wstając raptownie*).

Zenonie!.... Zenonie!... Zastanów się!.. Poleciał!... Szalony!... gotów dotrzymać słowa, (*wybiega za Zenonem*).

Zasłona spada.

Zmiana.

(Pokój Dra Piegórskiego skromnie urządzony, troje drzwi, jedne w głębi. U przodu stół, parę foteli, na stole przyrząd do herbaty).

SCENA III.

Dr. Piegórski (*wchodzi na palcach drzwiami środkowemi w kapeluszu, z laską*).

Zapewne jeszcze śpi biedne dziecko, od czasu tej strasznej katastrofy, zmieniła się do niepoznania. Bezsenne noce, łzy i rozpacz wywarły wpływ silny na konstytucyę słabą, zwiędł kwiatek burzą miotany... (*idzie na palcach pod drzwi lewe podsłuchując*). Cicho.... Bóg zlitował się nad nią zsyłając sen zbawienny; (*siada w fotelu*) chce obaczyć Ojca i

Stanisława... a tak trudno dostać przepustki... trzymają ich pod śledztwem i Bóg wie jak długo te katusze trwać będą, — chleb, woda i okłot słomy, przytem brutalstwo dozórców, oto jest obraz naszych więźni. Daremne są wasze zabiegi, nic się nie dowiecie, stalowa wola, siła ducha i szlachetność uczuć; te niczem nie przełamią. — Dąbrowa już od 6 dni nie przyjmuje pokarmu, nie pije wody i nie kładzie się do spoczynku, tym czynem myśli powstrzymać despotę od podobnego z innymi więźniami postępowania, i ofiarą własnego życia, przekonać ich, iż są charaktery, nad którymi i w więzieniu, obca duma niema żadnej mocy. Okropne przedsięwzięcie!.... Czekam jak zbawienia pozwolenia dla Heleny, gdyż ona jedna może zmienić jego straszne postanowienie. Drżę na samą myśl tego nieszczęścia. Nie wiem jak ją do tego kroku przygotować; Boże natchniej!...

SCENA IV.

Dr. Piegórski — Helena — później służący.

(Wchodzi Helena w czarnej sukni blada z oczami zapadłemi).

Helena *(podając rękę Piegórskiemu).*

Dzień dobry Doktorze; nie masz wiado-

mości świeżych o naszych więźniach?

Dr. Piegórski *(ściskając rękę Heleny).*

Dobry dzień pannie Helenie, wieści zawsze, te same, są pod sądem śledczym a o przepustkę bardzo trudno i pomimo mych starań do dziś dnia odpowiedzi nie ma. Ale niech się pani uspokoi. Ojciec pani żyje.

Helena *(siadając z westchnieniem).*

Tylko żyje!... I to Boska łaska dla biednej sieroty — a Stanisław?

Dr. Piegórski *(n. s. ocierając łzę pokryjomu).*

Biedne dziecię! *(głośno).* Stanisław podziela los Ojca.

Helena *(ocierając oczy chustką).*

Widzę z tego, że ty domyślasz się Doktorze, bo kto raz wejdzie w tę otchłań ciemnic, przestaje żyć na świecie... nikt się nie dowie o jego istnieniu.

Dr. Piegórski.

Miej Pani ufność w miłosierdziu Boskiem, *(nalewając herbatę).* Posiłek nie zaszkodzi.

Helena *(ściskając mu ręce).*

Dziękuję panu; starania, serce i przyjaźń jaką okazujesz, sprawiają mi wielką wiarę w obcych

ludzi, którzy się zemną tak po macoszemu obeszli. Ty jeden Doktorze różnisz się i czynisz wyjątek. Bóg ci zapłać za to, pociechą z twej lubej córeczki.

Służący *(oddając list).*

Do Pana Dr. Piegórskiego z poczty (*odchodzi*).

Dr. Piegórski *(czytając adres).*

Ręka mi nieznana... pilno... obaczmy... (*rozpieczętowuje*). Daruj Pani, może list od pacyenta (*idzie do biórka biorąc okulary*).

Helena *(patrząc w dół zamyślona).*

Niech się Pan mną nie kłopoce.

Dr. Piegórski *(czytając okazuje grą rysów radość i smutek na przemian, — do siebie).*

Kto mi je przysłał? To może ją ucieszyć, i zabić... gdy Ojca w tym stanie zobaczy, (*idąc do Heleny cicho*). Panno Heleno! (*do siebie z wyrazem boleści*). Biedne dziecię.... godzinami tak siedzi, (*głośniej dotykając się ramiona*). Panno Heleno!...

Helena (*budząc się z osłupienia, przeciera oczy).*

Pan mnie wołałeś? daruj... wszystkie zmysły tępieją, gdy trucizna serce szarpie.

Dr. Piegórski *(biorąc ją łagodnie za rękę).*

Dostałem list od mego przyjaciela, który robi nadzieję dostania przepustki dla Pani.

Helena.

Tylko nadzieję? O Boże! uczyń aby tą razą się ziściła.

Dr. Piegórski *(patrząc jej w oczy).*

Zapewnia mnie iż pozwolenie otrzymamy.

Helena *(weselej).*

Czy być może?... Obaczę Ojca!... Stanisława!... *(smutnie).* Ale nie! nie! Pański przyjaciel myli się.... dla Heleny nawet więzień otworzyć nie zechce.

Dr. Piegórski.

Nie trzeba tak rozpaczać, prawda iż są trudności, ale i te przezwyciężyć się dają. —

Helena *(z westchnieniem).*

Tak dla innych.

Dr. Piegórski.

A gdybyś Pani do tych się liczyła? Przyrzeczesz mi spokój? Zmienisz tryb życia rujnujący zdrowie; — zdrowie, które powinnaś

szanować dla szczęścia twego Ojca i Stanisława...

Helena (*patrząc z radością w oczy Doktora*).

Jakieś przeczucie mi mówi... serce silniej uderza (*biorąc go silnie za rękę*). Tak, ja ich zobaczę!... (*rzucając się w ramiona z płaczem*). Dzięki Ci!... dzięki Doktorze!

Dr. Piegórski (*rozczulony*).

Ale uspokój się Pani, gdyż zmiana, może ci zaszkodzić... pomnij iż dziś dla nich żyć powinnaś, a Ojciec potrzebuje twych starań.

Helena.

Czy może chory? nieukrywaj mi nic Doktorze, jam silna, i gdy Bogu podoba się zesłać krzyż nowy, zniosę go w pokorze.

Dr. Piegórski (*prowadząc ją do fotelu*).

Usiądź pani spokojnie i posłuchaj.

Helena (*siadając*),

O! teraz gdy mi będzie wolno odwiedzać ich!.... Ojca nieopuszczę i jestem pewną, iż stan zdrowia polepszy się. — Kiedy będę mogła ich widzieć?

Dr. Piegórski.

Wkrótce — dziś lub jutro. Ale musisz Pani starać się wywrzeć wpływ Anioła Opiekuńczego. Ojciec Pani stetryczał i podupadł na zdrowiu. — Raptowne burze zdruzgotały duszę granitu, dziś już potrzebuje starań i wpływów.

Helena.

Niebój się Doktorze, teraz czuję iż jestem potrzebną na świecie. Użyję całego wpływu, aby go pocieszyć i uspokoić, a wszelkich starań dołożę do przywrócenia zdrowia tak drogiego.

Zenon *(n. s. we drzwiach)*.

Czy też Doktór uczynił użytek z mego listu? (*spostrzegając Helenę*). Helena!

Helena *(składając ręce do modlitwy, niewidzi Zenona)*.

Stwórco wszechmocny, Dzięki Ci i za tę łaskę!... pobłogosław temu, który dołożył starań do ulżenia biednej sierocie.

———

SCENA V.

Ci sami — Zenon.

Zenon *(wchodząc szybko ukląkł u nóg Heleny).*

Oby Bóg wysłuchał modlitwy Pani!

Helena *(wstając raptownie cofa się ze strachem i kryje przy Doktorze).*

Boże! Czy mnie mylą oczy? Morderca Matki Stanisława!

Dr. Piegórski.

Kto Pana upoważnił wejść tu?

Zenon *(wstając z boleścią).*

Tak, nazwij mnie Pani mordercą, wyrzutkiem społeczeństwa, dziś nie żądam przebaczenia czując iż nadto ogrom mych zbrodni!.... Nie powinienem nawet zatruwać serca tak czystego, obliczem niegodnem widoku Pani. Ale cierpienia moje przewyższają boleść twoją!.... Chwile mego nędznego życia są policzone, chcę choć w części wprzód ugiąć kolano i przysiądz, iż li tak długo żyć będę, dopóki ty Pani i Ci, których zdradzi em nie będą szczęśliwi, a gdy Bóg w swem nieskończonem miłosierdziu zechce przebaczyć grzesznikowi,

będzie to w chwili gdy mi pozwoli tego najwyższego szczęścia — bym mógł umrzeć za Ojczyznę! (*wybiega chwiejnie*).

Helena (*patrząc za nim z litością*).

Boże! ulżyj jego sumieniu!

Dr. Piegórski.

Straszniejszej kary niema na świecie; (*do Heleny*). Chodźmy, dziś jeszcze odprowadzę Cię do Ojca, niemamy czasu do stracenia.

Helena (*biorąc szal i kapelusz*).

Idę natychmiast. Ach, jakaż radość będzie dla nich gdy mnie obaczą. Czuję się silniejszą mając postanowienie poświęceniem się mojem wybawić Stanisława od prześladowań. (*Wychodzą drzwiami głębią*).

Zasłona spada

KONIEC AKTU DRUGIEGO.

AKT III.

(*Chata wiejska Walentego, krajobraz nad Wisłą, — w głębi na tratwie flisacy śpiewają, w dali za rzeką mury bielą się Warszawy. Kościołek na Pradze. — Noc — księżyc*).

SCENA I.

Walenty — Flisacy — Chór.

Walenty (*wychodzi ostrożnie z chaty*).

Szczęść Boże! co słychać w Warszawie!

1. Flisak (*wyskakując z tratwy*).

Bóg zapłać Ojcze! Na Solcu zgorzeje!

2. Flisak (*rzucając wiosło*).

Saski plac zebraniem.

Walenty.

Rozumiem Was dokładnie, hasło nasze wiecie, witajcie przyjaciele.

3. Flisak.

Dwóch z naszych wiarusów płynie w dali i wnet przywiozą tych panów z Warszawy, co to dziś....

Walenty *(przerywa oglądając się).*

Dobrze moje zuchy, jakże się wam powodzi? *(ściska ręce obecnym).*

1. Flisak *(skrobiąc się w głowę).*

Oj źle Ojcze! źle z nami.

2. Flisak.

Każą nam płacić podatek zarobku.

3. Flisak.

Gwałcą przywileje wolnych flisaków.

1. Flisak.

Wisła się burzy na takie bezprawia.

Walenty.

To zemstę straszną gotuje wrogowi!

2. Flisak.

Wiecie, że syn mój browar najął mały, gdzie od trzech lat warzył napitek, dziś jest w więzieniu.

Walenty.

Cóż on takiego zawinił wbrew prawu?

2. Flisak.

To samo co inni; Książe Minister wyznaczył grzywnę od piwa, a że to u nas nigdy nie bywało i od niepamiętnych czasów nikt nie płacił podatku, więc wielki rejwach wszczął się w mieście naszem, — wzbraniali się płacić z czego wynikło iż Sasławski wszystkich do lochów powtrącał.

Walenty *(wznosząc oczy w górę).*

O Boże! ześlij gromów sto tysięcy, aby poczuli moc twą ciemięzcy!

3. Flisak.

Dziś mego syna pod broń powołano i gdzieś w dalekie popędzono strony, płacz i błagania były nadaremne *(ocierając łzę).* Wydarto Ojcu jedyne dziecko, podporę starości!... cóż pozostało staremu na świecie, chyba mnie Wisła przyjmie w swe ramiona i zimny całus da na pocieszenie.

Walenty.

Spokojnie bracia czekajcie tej chwili, Najświętsza Matka z Jasnej Góry wesprze, teraz

cierpliwości, odwagi potrzeba. — Nie nam o tej dobie ducha osłabić narzekaniem próżnem, tym to zostawmy, co są już tam... w grobie! My zaś żyjemy, odmłodnieć nawet nam wypada przecie — nadzieja krzepi upadłych na duchu a Bóg nam oręż wyostrzy.... tam... w niebie!...

2. Flisak.

Tak, słuszność z Wami Ojcze Walenty. Pan Jezus więcej cierpiał od nas wszystkich i silną wolą cały świat owładnął.

1. Flisak.

Ojcze Walenty weźcie nas w opiekę.

3. Flisak.

I moje stare kości przyjmcie jeszcze, ja kosę udźwignę w potrzebie.

Walenty.

Tak chodźcie razem dzieci jednej matki, ja was powiodę gdy chwila nadejdzie, — a teraz jeszcze cierpliwości zalecam, wprzód gdy nadjadą, przysięgę złożycie i każdy niemy do domu powróci. — (*pluskanie wiosł*). Otóż i oni. Przymocujcie czołna. (*Flisacy idą ku rzece wraz z Walentym, dwa czołna dobijają do*

brzegu. Wioślarze rzucają liny, któremi flisacy przyciągają je i przymocowują).

SCENA II.

Ci sami — Lysocki, Zabielak — Borszczyński, Grotermund, Durbański, Myszkowski, Bartek Kuźma, Jaśko Step *(wszyscy wyskakują na ląd z czołen).*

Walenty (*kłaniając się nisko*).

Bogu chwała!

Lysocki (*podając mu rękę*).

Na wieki! poznałem Was stary (*ciszej wskazując Flisaków*). Czy przyjaciele?

Walenty.

Duszą i ciałem, możem liczyć na nich.

Lysocki (*zwracając się do Flisaków*).

Szczęść Boże, bracia!

Flisacy.

Szczęść Boże! dziękujemy.

Myszkowski.

Jesteście pewni miejsca tego, o szpiega nie trudno.

Walenty.

Byłem na czatach, wszyscy śpią spokojnie, a moja chata daleko od wioski. (*Usuwa się w głąb i rozmawia z włościanami — bije piąta*).

Myszkowski.

Już piąta, wnet brzask pobudzi mieszkańców stolicy, czas nam rozpocząć nasze czynności.

Lysocki.

Przezorność nie zaszkodzi (*do Flisaków*). Przejdźcie manowce około tej chaty, (*wychodzą*).

Zabielak (*oglądając się*).

Brakuje Wacława (*do Myszkowskiego*). Tyś wpisywał kolego, będzie dziś w tem miejscu?

Myszkowski.

Za tego ręczę, nieopuści chwili.

Lysocki.

Nie traćmy czasu; Wacława poznałem, na tego czekać nie będziemy długo, czas uchodzi, bierzmy się do dzieła; -- Zaczynam od młodych braci (*do Jaśka Stepa*). Jaśku dużo kosynierów będzie?

Jaśko Step.

Dość panie do skoszenia chwastu.

Lysocki.

A Waszeć Kuźma, przedmieścia już obszedł?

Bartek Kuźma.

Wszystkie, a nawet okoliczne wioski.

Lysocki.

Dobrze mili bracia. Teraz co do was przyjaciele. Chłopicki nas porzuca, działamy więc sami. Bóg dozwolił aby dziś przelała się miarka, serce pękło, a dusza rwie się do wolności. Teraz nam wschodzi jutrzenka. Ziarno rzucone, krew nasza zbawiennie zrosi i może nie jeden już nie obaczy kwiatów bujnych, które złączone jednym silnym węzłem braterstwa roztoczą woń po całej krainie.

Wszyscy.

Jesteśmy gotowi na śmierć za Ojczyznę!

Lysocki.

Hasło!.... Stary browar spłonie, a plac Saski zebraniem moich — inni za hasłem pójdą w swoje strony (*zwraca się raptownie*). Słyszycie szmer w dali. (*Wszyscy zaglądają z ostrożnością w stronę wskazaną*).

Zabielak.

Widzę czterech ludzi zbliżających się skrycie.

Myszkowski (*wyciąga krucicę*).

Panowie baczność! Szpiegi wietrzą zwierza. (*Wszyscy wyciągają ukryte pistolety*).

Jaśko Step (*zaglądając bliżej*).

Próżna ostrożność, to nasi wracają.

Bartek Kuźma.

Lecz z sobą kogoś czwartego prowadzą. —

SCENA III.

Ciż sami — 3 Flisacy, Zenon.

Flisacy (*prowadzą Zenona zmienionego*).

1. Flisak.

Spotkaliśmy w chwili, gdy zdążał w te strony.

2. Flisak.

Hasło dał nasze, lecz nie będąc pewni...

3. Flisak.

Przyszliśmy razem — Wacław mu na imię.

Lysocki.

Zenon!.... (*poprawiając się*). Wacław; przepraszam cię bracie za naszych wiarusów (*do Flisaków*). To jest nasz przyjaciel (*do Zenona podając mu rękę*). Jak się masz kolego? Cóż Was tak spóźniło?

Zenon (*witając się z obecnymi*).

Chciałem wywiedzieć się skrycie, czy lew uśpiony nie czuje myśliwca.

Zabielak.

I cóż? nie zbudził go głos ostatecznego sądu?

Myszkowski.

Sumienie zbrodni gdy przebierze miarę, staje się martwe, zimne jak żelazo.

Zenon.

Dopóki stali nie poczuje siły, dziś drzemie jeszcze na swoją zagładę.

Lysocki *(do Zenona).*

Słyszałem, że pragniecie oswobodzić więźniów?

Zenon.

Biorąc te czynność najszczęśliwszym będę.

Lysocki.

Zezwalam. — A teraz podajemy młodszej braci ręce — Niech kmiotek zawsze będzie nam najbliższy, gdy szczerze kocha Ojczyznę pradziadów i czuje równie niedolę swych braci, (*wszyscy ściskają ręce Walentego i obecnych włościan*).

Walenty (*do Lysockiego*).

Mam o jedną łaskę prosić uniżenie. Otóż wiadomo wszystkim, iż mego panicza wzięto w dzień ślubu, matkę w grób wtrącono, a jego wraz z teściem i drużbami zamknięto w więzieniu.

Zenon (*zakrywając twarz rękami*).

Rozstąp się ziemio (*n. s.*) i skryj mnie głęboko.

Walenty *(nie poznając Zenona).*

Czy znany mój panicz? to złote serce, uczucia szlachetne.

Lysocki.

Więc krótko mówiąc, chcesz być wraz z Wacławem, uwolnić Zmińskiego? (*brzask*).

Walenty *(kłaniając się nizko).*

Przysiągłem sobie pierwszeństwo. Czterdzieści lat służyłem w tym domu, wrosłem jak stary grzyb w szczeliny jego, pokochałem ich przywiązaniem psa wiernego, chcę zastąpić sierocie rodziców i wywdzięczyć się za chleb tyloletni, lub umrzeć w panicza obronie.

Wszyscy.

Zostawmy to Walentemu.

Lysocki.

Dobrze więc Walenty z Wacławem więzienia otworzą, przebiegłość działania Wam się pozostawia.

Zenon (*ściskając Walentego*).

Mój przyjacielu możesz liczyć na mnie. (*Horyzont od strony wschodu oświeca się. Muzyka cicho Hymn*).

Lysocki (*do Spiskowych*).

Teraz do przysięgi. Ręce w górę podnieście. (*Wszyscy podnoszą dwa palce u prawej ręki*). Przysięgacie iż wszystko o czem się mówiło i mówić będzie nie zdradzicie.

Wszyscy.

Przysięgamy.

Lysocki.

Wykonacie polecenia z wiarą i posłuszeństwem bez granic.

Wszyscy.

Wykonamy z wiarą i posłuszeństwem.

Lysocki.

Przysięgajcie życie wasze i wszystko co macie najdroższego poświęcić w tej sprawie.

Wszyscy.

Poświęcimy wszystko! (*Słychać dzwonek na jutrznię. W orkiestrze Bogarodzica*).

Lysocki.

Bóg z nami i Matka Częstochowy! Zmówmy modlitwę krótką i dalej do pracy. (*Wszyscy klękają. Słońce wschodzi i oświeca malowniczo całą grupę modlących się. Dzwonek cichnie stopniowo. Po modlitwie jedni siadają do czołen, drudzy rozchodzą się*). —

Zasłona spada.

———

Zmiana.

(Pokój u Lutowidzkiego jak w 2 akcie).

SCENA IV.

Lutowidzki (*sam wchodząc*).

Szukają go wszędzie, daremne zabiegi. Szaleniec zabił całą swą przyszłość, a przyczyną — śmieszne dziecinne wyrzuty sumienia. Głupiec! i ja mam sumienie, lecz rozsądek kieruje niem według pojęć ducha czasu. On powoduje się sercem... ja głową... obaczemy kto lepiej wyjdzie (*dzwoni*). Dziś mam przesłuchać więźniów — będę nieubłaganym... gdyż oni zabrali mi syna... jedyną pociechę!... (*dzwoni silniej*). Cóż oni pogłuchli? (*do wchodzącego żandarma*). No. 38 i 48 będą przesłuchani. (*Żandarm odchodzi*). Oni mi go wydarli... Zemszczę się!.... Tak.... Gdyż Zenon miał uświetnić imię... zabrać moje skarby, posiąść godności,.... a teraz kto je odziedziczy? Tyloletnia praca runie ze zgonem mojem, cały budynek marzeń w proch się rozsypie... O! nie, — on się nawróci, kazałem go szukać,.... znajdą go,.... przemówię do rozumu — serce synowskie obudzi się, rzuci mi się w objęcia, a ja go przyjmę z rozkoszą i... (*zastanawia się z rozpaczą*). Lecz czy on przyjmie te skarby? które nazwał

nabytkiem krwi i łez współbraci.... Czy przyzna się do ojca,... którego mieni renegatem?... (*pociąga ręką po czole*). Nie!... nie.... ja nim nie jestem.... Oni kopią grób Ojczyznie.... Oni chcą samoistności wątłej... ja zaś chwytam się silnej rękojmi, zatrzymuję ich nad przepaścią zagłady (*wmawiając w siebie*). Muszą w to uwierzyć,... ja tak chcę!.... w przeciwnym razie... biada im!...

SCENA V.

Lutowidzki — dwóch Urzędników, Sekretarz, Żandarmi.

(Urzędnicy i Sekretarz wchodzą głębią kłaniając się nizko. — Żandarmi stoją przy drzwiach. Sekretarz siada przy stole).

Lutowidzki (*siadając przy biórze*).

Protokół przygotować!.... Uważać dobrze na każdy ruch twarzy (*do Sekretarza*). Dosłownie spisywać zeznania, chwytać gorliwie sprzeczności... (*do Żandarmów*). No, 38 i 48 niech wejdą.... Konfrontacya!... (*Żandarmi otwierają drzwi środkowe, dwóch innych wprowadzają Dąbrowę bladego, wy-*

chudłego, ledwo trzymającego się na nogach. Za nim wchodzi Stanisław).

SCENA VI.

Ci sami — Dąbrowa, Stanisław, Żandarmi.

Lutowidzki (*do Dąbrowy*).

Zbliż się Pan!.... (*Dąbrowa nieruchomo stoi oparty o ścianę*). Zbliż się mówię! Cóż? czy słuch straciłeś w więzieniu?

Dąbrowa (*próbując kilka kroków zrobić naprzód, cofa się w osłabieniu i opiera o mur. Cichym głosem*).

Nie mogę.

Stanisław.

Miej pan litość nad biednym starcem. On siły utracił, przywlekli go tu z trudnością!

Lutowidzki (*ostro*).

Zapytany.... odpowiadać!.... (*do żandarmów*). Podać krzesło!.... (*Żandarmi sadzają Dąbrowę. Do Sekretarza*). Gotów?

Sekretarz (*wstając*).

Na rozkazy.

Lutowidzki (*do Dąbrowy*).

Do spisku, czyli towarzystwa patryotycznego, jak chcieliście go nazwać, wciągnąłeś Pan Zmińskiego, Nałęcza, Ostoję i wielu innych... oto cię oskarżono; badania bezskuteczne pociągnęły więzienie; radzę dziś pojąć i się zeznać dla ulżenia kary.

Dąbrowa (*słabym urywanym głosem*).

Zeznania... poprzednie... potwierdzam. Spisku nie było.... więc nie mogę wymienić.

Lutowidzki (*łagodniej*).

Ale zastanów się Pan, sam kopiesz grób Ojczyznie.

Dąbrowa (*prostując się*).

Święte miano "Ojczyzna" nie powinno być w ustach Pana!.... Świętokradztwo popełniasz.

Lutowidzki (*surowo*).

Więzień ma milczeć i odpowiadać na pytania. Po co przyjechałeś pan do stolicy?

Dąbrowa.

Dla moich interesów!

Lutowidzki.

Zatwardziały grzesznik! (*do Stanisława*). Widziano pana często u Dąbrowy, przesiadywałeś wraz z oskarżonym. Coście tam robili?

Stanisław.

Pan Dąbrowa jest Ojcem mojej narzeczonej; a tamci naszemi przyjaciołami.

Lutowidzki.

Widziano tam i wielu innych spiskowych czy możecie wymienić ich nazwiska?

Stanisław.

Spiskowych żadnych nie było. Imiona gości wymieniać nie widzę potrzeby.

Lutowidzki.

Zastanów się pan, pogorszasz sprawę, wyjawienie spiskowych może ulżyć karę. (*z ironią*). A narzeczona czeka u stóp ołtarza!

Stanisław (*hamując gniew*).

Panie!... dość tych urągań... pomnij, iż palec Boży może ciebie dotknąć boleśniej, a sprawiedliwość jego ukarać. (*Słychać gwar za kulisami*).

Lutowidzki (*do żandarma niespokojny*).

Obacz co to jest!... Kto sobie pozwala przerywać me czynności? Niech się uciszą!... (*Wchodzą żandarmi i komisarz, prowadząc Zenona*).

SCENA VII.

Ci sami — Zenon, Komisarz i Żandarmi.

Komisarz.

Uwięziłem spiskowego.

Lutowidzki (*w osłupieniu*).

Kogo?... Mego syna?...

Komisarz (*przerażony*).

Jakto?... to syn Waszej Ekscelencyi?

Lutowidzki.

Jaka przyczyna uwięzienia?

Komisarz.

Rozkazałeś Ekscelencyo szukać spiskowych a...

Zenon.

A spiskowym ja byłem — teraz wydaj

Ojcze wyrok śmierci i zabij, zrobisz mi przysługę. —

Lutowidzki (*do komisarza i żandarmów*).

Odejdźcie!... idąc do nich (*bezprzytomnie*) Albo nie... zostańcie!... Wy się mylicie... to jest fałsz.... syn mój nigdy nie należał do spisku... On jest niewinny... I cóż mój synu.... powiesz... żeś niewinny... Oni cię samowładnie zatrzymali.... powiedz? błagam cię!?

Zenon (*milczy*).

Komisarz.

Ale...

Lutowidzki.

Milcz!... ja rozkazów nie dawałem.... będziesz uwięzionym! On jest niewinny.... On jest moim synem!... (*Opiera się z rozpaczą o biórko*).

Zenon (*z boleścią*).

Mówiłem ci Ojcze czemuś to uczynił?! tracisz syna na wieki!.... Dziś jako Wacław Brzyski na własną rękę podburzałem mieszczan.

Lutowidzki.

Cóżeś chciał uczynić szalony?...

Zenon.

Szkoda, przeszkodzili mi. Byłbym urządził wrogom noc Bartłomieja... ucztę szatańską... wartą gości piekielnych, którzy uradowaliby się nabytkiem nowych mieszkańców! A teraz Ojcze czyń twą powinność i każ mnie doprowadzić do turmy.... później zechcesz mnie wybadać i skazać (*do żandarmów*). Prowadźcie! (*odwracając się do Stanisława i Dąbrowy*). Wy niewinnie cierpicie; pozwólcie abym podzielił losy wasze. (*Żandarmi się wachają*).

Lutowidzki (*przychodząc do siebie*).

Tak... prawda.... ja niemam już syna... (*pasując się*). Syn mój już umarł dla mnie. (*Na stronie do siebie*). Zaszedłem już za daleko, cofnąć się niepodobieństwo!.... Ha!.... stało się (*głośno do Komisarza*). Ten pan jest twoim więźniem (*z wysileniem*). Odprowadź do turmy!.... (*wspiera się o krzesło*). Żandarmi i Komisarz wychodzą za Zenonem — (*do przytomnych*). Badania ukończone (*pada na krzesło*).

AKT IV.

(*Więzienie podziemne, sklepione ściany — czarne mchem porosłe, okna małe z kratami, dają słabe światło na scenę. — Po prawej stronie tapczan pokryty zgniłą słomą — obok dzban wody i kawał czarnego chleba, głębia ciężkie drzwi z okienkiem*).

SCENA I.

Stanisław (*siedzi na tapczanie*).

Od trzech miesięcy tu siedzę, strumienie łez wylałem a współczuciem nikt z ludzi nie pokrzepił sił moich (*zwraca się do muru*). Wy głazy czujecie moją boleść!.... boleść sieroty... serca podwójnie skołatanego.... Wy czujecie ją płacząc kroplistą rosą (*śmiejąc się gorzko*). Ha! ha! ha!... co ja mąjaczę o uczuciu... boleści.. i sercu.... Wszak ja już niemam serca... nie, nie czuję... nie powinienem czuć... gdyż umarli zrywają cielesne męki.... duch skrępowany okowami ziemskie-

mi... wyrywa się... ulotnia... tam... tam... wysoko! (*po krótkiej pauzie przeciera oczy, jakoby w przywidzeniu*). Widzicie tam w dali, staruszka chora siedzi w dużem krześle, — weselni goście ją otaczają. Helena w ślubnej sukni;.... tak, to gody weselne!... Staruszka wybladła, lecz uśmiecha się szczęściem syna, którego kochała, który ją uwielbiał! (*wstając wpatruje się w kąt więzienia*). W tem sowa zahuczała!... łoskot grzmotów dał się słyszeć.... szatan w postaci człowieka zasyczał przekleństwem!... i... — wnet.... straszna nastąpiła chwila.... Syna wydarto matce i wtrącono do więzienia.... a matkę... dobito bez litości, dla jedynego dziecka błagającą o przebaczenie! (*rzuca się na tapczan w rozpaczy — chwila uroczystej ciszy — przychodząc do siebie*). Dziś już nikt mi niepozostał na tym świecie, oprócz Heleny.... Ta jest moją przyszłością, szczęściem i tętnem całego życia!.... utracić ją... byłoby dla mnie ostatnią godziną (*wchodzi cicho Walenty — Stanisław klęka*). Boże wszechmocny! widzisz — tu sługę Twego w pokorze błagającego, wejrzyj na braci w rozpaczy,... na mnie i na moich towarzyszy. Wyrwij Ojca córce lub wesprzyj do wytrwania katuszy, sercem nieska-

żonym. Nie bojemy się więzów, ani śmierci jesteśmy dumni cierpiąc za Ojczyznę, jednak chcemy być wolni, dla spełnienia obowiązków jakie kraj na nas włożył. (*Modli się w pokorze*).

———

SCENA II.

Stanisław — Walenty.

Walenty (*klęczy opodal modląc się ze Stanisławem*).

Stanisław (*wstając spokojnie*).

Lżej mi trochę na sercu — łzy i modlitwa krzepią (*spostrzega modlącego się Walentego*). I wy umiecie się modlić?

Walenty (*przeżegnawszy się podnosi głowę*).

Nauczono mnie w Polsce.

Stanisław (*przecierając oczy*).

Czy znowu widma? stan gorączkowy mnie mami! Walenty! (*głośniej idąc ku niemu*). Czy to ty Walenty?

Walenty (*całując kolana Stanisława*).

Tak Walenty, stary sługa wierny, nigdy nie opuszcze Panicza.

Stanisław (*ściskając dłoń jego z rozczuleniem*).

Mój stary! przyjacielu jedyny!.... O Boże jakaż radość!.... (*opierając się na ramieniu Walentego, siada osłabiony*). Słabo mi się zrobiło, ale to nic.. nic, odwykłem od uciech.

Walenty (*podając spiesznie wodę*).

Mój kochany Paniczu, napij się trochę wody — to orzeźwi.

Stanisław (*pijąc, urywanym głosem*).

Cierpienia.... tęsknota... samotność przygniotły i rozstroiły cały organizm. Ale dziś tak jestem szczęśliwy, że Cię tu widzę, iż siły powracają (*biorąc go za ramię*). Chodź tu mój stary siadaj. Od tej okropnej chwili niewidziałem nikogo... mów, mów prędko; skąd się tu wziąłeś? Czy spisek trwa dalej? Co się stało z Heleną — i czy w bezpiecznym jest miejscu? A może grozi ci jakie niebezpieczeństwo? Zmiłuj się, nie narażaj twej wolności, masz dzieci, które potrzebują opieki.

Walenty (*siadając obok Stanisława*).

Użyłem wszystkich środków, aby się tutaj dostać, a mając trochę grosiwa udało mi się

wywieść ich w pole, jestem dzisiaj dozórcą więzienia, później chciałbym zostać oswobodzicielem. Ale potem o tem, a teraz o Pannie Helenie...

Stanisław *(przerywając).*

Może chora?

Walenty.

Zdrowa Bogu dzięki i w bezpiecznem miejscu. Doktór poczciwy zabrał ją do siebie.

Stanisław.

Nieoceniony Doktór, nigdy mu tego nie zapomnę.

Walenty.

A jeżeli mi Panicz przyobiecasz spokój, to powiem więcej.

Stanisław.

Żądaj odemnie wszystko, zrobię, — przysięgam.

Walenty *(cicho a dobitnie).*

Panna Helena dzisiaj jest u Ojca i w krótce tu przybędzie.

Stanisław (*rzucając się na szyję Walentemu*).

Drogi przyjacielu!.... O Boże tyle szczęścia! .. moje modły wysłuchane!... tracę głowę!..

Walenty.

Spokojnie Paniczu, zbierz myśli, bo teraz, nim nadejdzie, powiem jeszcze coś bardzo ważnego. (*Nachylając się mówi mu na ucho*).

Stanisław (*z radością*).

Czy to być może?

Walenty.

Jak to, że w tej chwili słońce na niebie.

Stanisław.

I wszyscy będziemy...

Walenty (*cicho*).

Wolni!.... ale.... sza... bo ściany mają uszy...

Stanisław.

Jeszcze słowo, kto na czele?

Walenty.

Nic więcej nie powiem, potem dowiesz się panicz wszystkiego.

Stanisław.

A Zenon?

Walenty.

Uwięziony przez Ojca siedzi w turmie.

Stanisław.

Więc to prawda?

Walenty.

Dzielny i szlachetny chłopiec (*słuchając*). Nadchodzą, nie powinni mnie tu spotkać (*wychodząc*). Do widzenia kochany Paniczu, będę czuwać nad wami (*we drzwiach spotyka Oficera, który daje mu znak aby pozostał*).

———

SCENA III.

Stanisław — Oficer — Helena — Walenty.

Oficer (*wprowadzając Helenę*).

Proszę tędy (*do Stanisława*). Ta pani dostała pozwolenie widzenia się z No. 38, (*do Walentego*). Dozórca, nie odchodzić ztąd na krok, za pół godziny wyprowadzisz panią. Takie mam polecenie (*wychodzi*).

Walenty *(siada w głębi na zydlu).*

Stanisław *(rzucając się do kolan Heleny).*

Heleno, czemże zasłużyłem sobie na tyle szczęścia?

Helena *(podnosząc go).*

Stanisławie, chciałam raz jeszcze obaczyć cię, i pożegnać na wieki. —

Stanisław *(w osłupieniu).*

Co to jest Heleno? czy dobrze słyszę?

Helena.

Całego nieszczęścia sama byłam przyczyną, czuję mą winę i niechcę ciebie narażać na zemstę tych, — którzy zabili wprzód twą matkę — a dzisiaj życie syna od nich zależy.

Stanisław.

Heleno! Ty jesteś moim jedynem szczęściem na tej ziemi i oprócz ciebie nic mi tu nie pozostaje.

Helena.

Przysięgam ci Stanisławie iż nikt nie posiędzie mego serca, ale zastanów się nad przyszłością w której ja widzę jasno; zemsta w każdym kroku ścigać cię będzie, — truciznę którą

pilbyś pełnym kielichem, jabym ci przyrządzała... Nie!... nie... dzieli nas tak wielka odchłań, powinniśmy zapomnieć mrzonki, które nigdy ziścić się nie mogą.... urzeczywistnić nie powinny (*kryjąc łzy*). Dla mnie nie jest przenaczone być szczęśliwą!

Stanisław.

Zkąd takie czarne myśli Heleno? Dziś już żadnych przeszkód mieć nie będziemy, gdyż nie wiesz.

Helena (*przerywając*).

Wiem, że Zenon opamiętał się, wstąpił na drogę prawą.... ale zapomniałeś o tem, że miłość nie zna granic rozsądku. — On dziś może się zmienił w nadziei zaskarbienia mego serca, a gdy próba się nie uda, całą zemstę spotęgowaną rozpaczą, wywrze na twą głowę, a wtedy ja będę przyczyną wszystkiego.

Stanisław.

Czy myślisz Heleno, że mogę być szczęśliwym bez Ciebie? Czy sądzisz mnie zdolnym przenieść cios tak okropny? O nie!.... jeżeli twa obawa może mieć jaką podstawę, gdyby prześladowania miały miejsce — lżej nam będzie znosić je wspólnie. — Powiem więcej,

iż z mojej strony staną się one największą rozkoszą, będę dumnym!

Helena.

Cierpienia osłabiają ducha, zresztą zapomnieliśmy myśląc o sobie, o mojem Ojcu, starzec 80 letni, dzisiaj złamany podwójnie, jakąż znajdzie opiekę? Kto zamknie mu powieki, gdy córka dogadzając sercu, nie wypełni świętych obowiązków!...

Stanisław.

Heleno, ojciec twój będzie wolny, moja gwiazda nie znikła z horyzontu, blask jej choć słaby wśród gromów, przyświeca nam jeszcze, a może i w bardzo krótkim czasie otrząśniemy się z więzów, — pojmuję głos sumienia córki.... lecz nie odbieraj mi nadziei jedynego balsamu na skołatane serce, zostaw więźniowi światełko, rozjaśniające jego duszę:.. przy tem blasku śmiało będę spoglądał w przyszłość i cierpliwiej oczekiwał chwili wybawienia.

Helena.

Mówisz o wolności mego Ojca, o swojem wybawieniu, budujesz gmachy pełne marzeń uroczystych, tworzysz je na spruchniałych po-

dwalinach chorowitej wyobraźni, nie mając trwałej podstawy. — Ja zimno patrzę na świat i dla tego pojąć nie mogę twej myśli.

Stanisław *(biorąc rękę Heleny).*

Dzisiaj nie wolno mi powiedzieć więcej lecz gdy nie dajesz wiary słowom moim *(prowadząc ją do Walentego)* niech on będzie naszym rozjemcą.

Helena *(zdziwiona cofa się).*

Kto? Dozórca? *(na stronie do Stanisława).* Tyś chory Stanisławie?

Walenty *(wstając).*

Panienka może być spokojną.

Helena *(wpatrując się).*

Walenty!... tu?

Stanisław.

Poczciwy Walenty poświęcił się dla nas, on zastępuje mi rodziców.

Walenty.

Państwo poczytujecie mi to za zasługę co ja uważam za swój obowiązek *(patrząc na zegarek;)* ale czas uchodzi — tylko 5 minut

jeszcze, — a potem muszę panienkę wyprowadzić.

Stanisław.

Powiedz więc pannie Helenie iż w krótce....

Walenty (*kładąc palec na ustach*).

Pst! mógłby kto usłyszeć (*cicho zbliżając się do Heleny*) wszyscy wkrótce będą wolni; Zenon szczerze żałuje za grzechy, a Ojca jego zrobimy nieszkodliwym.

Helena (*zdziwiona*).

Czy znowu spisek?

Stanisław.

Na Miłość Boską ciszej — później dowiesz się o wszystkiem — a teraz jeżeli ufasz moim słowom, to podaj rękę i przysięgnij, że sumienie twoje nigdy podobnych wyrzutów mieć nie będzie.

Helena (*podając rękę*).

Wierzę i przysięgam!...

Stanisław (*całując jej rękę w uniesieniu*).

Więc znów Helena mi powraca taką samą jaką miałem w dzień ślubu.

Helena (*wznosząc oczy ku niebu*).

Boże! widzisz iż spełniłam mój obowiązek, a teraz prowadź mnie dalej, i nieopuszczaj mojego Ojca i Stanisława.

Stanisław (*ściskając jej rękę*).

Droga Heleno możesz być spokojną.

Walenty.

Teraz w drogę. — Panienka niech nic nie wspomina przed nikim, o czem tutaj mówiliśmy. (*Całując jej rękę*). Bóg niech was prowadzi szczęśliwie.

Stanisław (*ściskając ją*).

Serce mi pęknie.

Helena (*wychodząc*).

Bądź mężnym Stanisławie — pomnij, że Ojczyzna będzie potrzebować twego ramienia, a ona ma pierwszeństwo. (*Wychodzi*).

Stanisław.

Zrozumiała (*w stronę drzwi*). O przysięgam ci Heleno, że obie będziecie mi zarówno drogiemi.

Zasłona spada.

KONIEC AKTU CZWARTEGO.

AKT V.

(Plac w Warszawie, — posąg w głębi — noc, latarnie gdzie niegdzie pozapalane słabo oświecają — z różnych stron wchodzą ostrożnie — Myszkowski, Zabielak, Borszczyński, Grotermund, Dobylański, wszyscy patrzą w jedną stronę miasta zkąd po chwili okazuje się słaba łuna).

SCENA I.

Zabielak *(wysuwając się naprzód).*

Jesteście wszyscy — Sygnał gore — czas uchodzi. Bracia do dzieła.

Myszkowski.

Wszyscy jesteśmy — lecz broni nie mamy.

Zabielak.

A Lysockiego nikt nie spotkał w drodze?

Myszkowski *(do Borszczyńskiego).*

Chodź ze mną prosto do szkoły Podchorążych, on tam być musi.

Zabielak.

Zaczekajmy lepiej — On wnet nadejdzie, — (*Dzwon na gwałt uderza*).

Myszkowski.

Słyszysz, dzwony się odzywają — wkrótce wojsko ruszy a w głębi miasta wszystko śpi spokojnie (*dają się słyszeć w głębi trąbki straży ogniowej i sygnały wojskowe*).

Zabielak.

Już straż ogniowa w tę stronę pognała.

Myszkowski (*patrząc na lewo*).

Posełki konne i piesze przebiegają aleje.

Zabielak.

Sygnału nie dojrzą w drugiej dzielnicy miasta — wszystko stracone! —

Myszkowski.

Kto słabego ducha niech ustąpi z pola a niech nie rzuca zwątpienia serca w innych, — czekajmy cierpliwie!

Zabielak (*patrząc w stronę pożaru*).

Otóż i łuna gaśnie — stare pruchno palić się nie chce — Cóż poczniemy gdy tamci za późno w pomoc nam przybędą.

Myszkowski.

Zginiemy wszyscy, — lecz zginiemy z chwałą, gdyż podchorążego cofnąć nie zdoła.

SCENA II.

Ci sami — Lysocki — Durbański — 10 Spiskowych *(wszyscy z bronią)*.

Lysocki.

Brawo Myszkowski! zginiemy lub zwyciężymy (*do innych*). Rozdać broń przytomnym (*Myszkowski, Zabielak, Dobylański i inni biorą broń przyniesioną, — słychać ruch jezdnych, — głosy dzwonów ustają — wszystko ucisza się*).

Zabielak.

Pożar zgasł niepozostawiając śladu, wszystko wraca do koszar i wkrótce się uspokoi.

Myszkowski.

Nie mamy chwili do stracenia, — do Belwederu!

Lysocki.

Podchorążowie Myszkowski, Zabielak, znając dokładnie miejscowości poprowadzą — ja

spieszę do szkoły podchorążych, aby wykład teoryi zmienić w praktykę (*wychodząc*). Szczęść Bracia! Bóg z wami!

Wszyscy (*za odchodzącym Lysockim*).

I z Wami....

Myszkowski.

A teraz podzielmy nasze siły, jest nas osiemnastu, połowa na zamek, ja was poprowadzę — Zabielak uszykuj swoich w ogrodzie, aby ptaszek miał odwrót odcięty (*formują dwa oddziały*).

Zabielak.

Koledzy za mną — niech żyje Ojczyzna!

Wszyscy (*z bronią do góry*).

Niech żyje!...

Zabielak (*na prawo, — Myszkowski na lewo wybiegają — każdy na czele swego oddziału*).

SCENA III.

Piegórski — Helena — Walenty.

Walenty (*idąc naprzód ostrożnie*).

Tędy, tędy do więzień. — Chwilkę na naszych poczekamy — wkrótce nadejść po-

winni — a może panuncia się lęka; byłby czas powrócić, (*dają się słyszeć pojedyńcze dalekie wystrzały karabinowe od strony zamku*).

Helena (*zatrzymując się*).

Czy sądzicie, że Helena, córka Dąbrowy a narzeczona Stanisława, zadrzy na odgłos huku strzał — że obawia się kul nieprzyjacielskich, — w chwili gdy Ojciec i kochanek mają odzyskać wolność, — w chwili gdy Ojczyznie wschodzi jutrzenka swobody?.... O nie, moi przyjaciele, Helena jest mężnego ducha, z odwagą stanie u boku swoich najdroższych i bez obawy spojrzy śmierci w oczy. — Dalej spieszmy ich oswobodzić, chcę im sama więzienie otworzyć.

Piegórski.

Pani nie wiesz na co się narażasz — pierwsza kula trafić cię może — a wtenczas przekleństwo twego Ojca spadnie na moją głowę.

Helena.

Wstydź się Pan!.... jesteś słabego ducha — Ojciec mój przekląć cię nie może gdyż żadna siła nie byłaby w stanie powstrzymać mię od myśli ratowania ich obydwóch.

Walenty.

Tak, ślicznie panienka mówi — to mi się podobało. — Zresztą nie ma powodu do obawy. Więzienia muszą być przepełnione żołdactwem... my siebie i ich zgubimy. —

Walenty.

Coś moi Kosynierzy spóźnili się *(częste strzały z prawej strony)*. Otóż widzę, oddział huzarów, goni za niemi, dzielnie.... ślicznie... hura!... *(naśladując ich)*. Tędzy chłopcy rozgonili ich, a sami tu pędzą.

Helena *(patrząc w tę stronę z wytężeniem)*.

Ach! jak mi serce bije radośnie, krew w żyłach chyżej obiega, — Boże!.... czemu ja tam być nie mogę.

SCENA IV.

Ci sami — Jaśko Step — Bartek Kuźma i Kosyniery.

Jaśko Step *(obwijając rękę)*.

Daruj Ojcze Walenty, ale zagrodzono nam drogę, musieliśmy przesadzać baryery.

Walenty *(ściskając go).*

Widziałem, — dzielnie spisaliście się, — jak na mężnych żołnierzy przystało, niepowstydzę się moich Kosynierów.

Bartek.

Nie wielka to zasługa. — Człek machnął kosą i rozlecieli się na cztery wiatry.

Walenty.

A teraz nie traćmy czasu — zostańcie tutaj w odwodzie, a gdy dam hasło przybywajcie w pomoc.

Jaśko Step *(wskazując na Helenę).*

Czy ta panienka z nami pozostaje?

Helena.

Nie moi poczciwi.... ja biegnę z Walentym, Bóg z wami *(wychodzi)*.

Piegórski *(wychodząc za niemi)*.

Szalone dziewczę do grobu się wpędzi!

———

SCENA V.

(*W dali strzały mięszane*).

Jaśko Step.

O to zuch dziewczyna — gdybym miał taką córkę... pozwoliłbym sobie kołki ciosać na głowie.

Bartek Kuźma (*patrząc za odchodzącymi*).

Nie spuszczajmy ich z oka.... (*do żołnierzy*). Baczność! broń przy sobie! (*do Jaśka*). Już weszli bocznemi drzwiami. — Straż zna Walentego, on pono dozórca.

Jaśko Step.

Podszedł ich skrycie (*przerywając nadsłuchane*); słyszysz ten gwar w dziedzińcu, — łuna — płomień buchnął. To sprawka Walentego.

Bartek Kuźma.

Wszyscy spieszą na ratunek a on korzystając z czasu więźniów uwolni. — Lecz co ja widzę? przy świetle łuny jakiś młody człowiek pędzi na koniu bez czapki... stanął... ko-

nia z rąk wypuścił, a sam wszedł za naszemi. — A gdyby to był szpieg?.... lub wysłaniec zamkowy?...

Jaśko Step.

A do stu kartaczów!... (*strzał z pistoletu*). Sygnał Walentego (*częste strzały*).

Bartek Kuźma.

Za mną!... za mną bracia!... (*Wybiegają na lewo*).

SCENA VI.

Lutowidzki — Sekretarz.

Lutowidzki (*prowadzony przez Sekretarza*).

Sekretarz.

Tędy panie prezydencie nie jest zbyt bezpiecznie.

Lutowidzki.

Prowadź mnie — ja chcę syna — syna mojego widzieć.

Sekretarz.

Syn pana siedzi w prawej turmie, a ztąd jeszcze daleko — radziłbym powrócić.

Lutowidzki.

Co?... powrócić?.... nędzniku!... ty śmiesz mi się sprzeciwiać w chwili gdy chodzi o całe moje mienie.... Czy ty wiesz, że w dniu wmięszania się syna mego, cała moja przyszłość zwichnięta, cała tyloletnia praca może runąć przez lekkomyślność młodzika. — Ale ty tego niepojmujesz,.... drzysz o swoją skórę!... Dziś gdy cały porządek wstecz wywrócony, opuszczacie mnie plugawe bydlęta,... taka to wasza wdzięczność za wyświadczone wam dobrodziejstwa...

Sekretarz.

Nie wspominajmy dobrodziejstw, ciężą mi one dziś ołowiem; wciągnąłeś mnie na drogę, której najnędzniejszy z żebraków nam nie pozazdrości; zaprzedaż sumienia, wyzyskiwanie dobrej wiary współbraci, to są świetne nasze czyny, godne kary Bożej!....

Lutowidzki (*gorączkowo biorąc ga za ramię*).

Cicho! nie mów tak głośno — mogą nas posłuchać... Czy i ty pragniesz mej zguby? (*strzały armatnie*). Słyszysz, nasi górą. Wielki książe ujdzie niebezpieczeństwa — wrócą się dawne czasy, — moje skarby, — dosto-

jeństwa odzyskane (*strzały karabinowe od strony pożaru*). Widzisz więzienia się palą, czy załoga silna?...

Sekretarz.

Załoga nie pomoże.

Lutowidzki.

Mówisz z krwią tak zimną — więźnie uwolnić się mogą, a tam... o Boże! nie pomyślałem o tem... zemsta!... straszna zemsta mnie czeka, gdy Dąbrowa ze swoiemi ujdzie.

Sekretarz.

Drżysz pan o siebie, o swoje skarby nagromadzone, a zapomniałeś, że ja mam żonę i małe dziatki, a słuszna zemsta może spaść na te niewinne istoty (*opuszczając go*). Bądź zdrów prezydencie, — idź dalej wytkniętą drogą — ja powrócę do moich, a potem połączę się z narodem, ażeby się oczyścić ze wszystkich podłości, do których mnie wciągnąłeś.

Lutowidzki (*w pasyi zatrzymując go*).

Co? ty! który moje tajemnice posiadasz? śmiesz mnie opuszczać... zapewne chcesz oddać w ręce zemsty!! sprowadzić na mnie powstańców — o nie! — pierwej zginiesz!

Sekretarz *(szamocąc, wyrywa się z rąk Lutowidzkiego, — jednocześnie wchodzi Zenon a za nim inni).*

Ratunku!... *(biegnie ku nim).*

SCENA VII.

Lutowidzki — Sekretarz — Stanisław — Zenon — Dąbrowa — Ostoja *(później)* **Jaśko Step — Walenty — Kosyniery — Wojsko.**

Zenon *(zakrywając sobą Sekretarza).*

Stój!.... Kto idzie?!

Lutowidzki *(w szale).*

Giń łotrze!.... *(strzela)* wchodzą wszyscy.

Zenon.

Mój Ojciec! *(padając chwyta się za piersi).* Ojcze! dopełniłeś najgorętszych życzeń moich — dzisiaj zmazałem moje i twoje winy, i mogę spokojnie umie...rać... *(Wszyscy otaczają Zenona).*

Lutowidzki *(biegnąc do Zenona).*

Mój syn! mój syn!... Zabiłem go, zamordowałem moje dziecię. *(Marsz tryumfalny — wchodzą ci później).*

Wszyscy.

Nasi zwyciężyli!

Zenon (*słabym głosem*).

A teraz przebaczam Ci!... Ale przysięgnij, że nigdy nie będziesz prześladował Dąbrowę i Stanisława.

Lutowidzki (*w rozpaczy*).

Przysięgam!.... przysięgam na wszystko!... ale ty nie umrzesz... ty będziesz żył Zenonie... Synu mój!... powiedz... zaklinam cię... Ty żyć musisz... a wnet ustąpię z tego świata i zakończę nędzne życie (*płacze*).

Zenon (*z litością*).

Biedny starcze.... już za późno! czuję ból straszny; koniec mój blizki... (*do Heleny i do Stanisława*). Ostatnia prośba u... mierającego. . pobierzcie się i bądźcie szczęśliwi!

Dąbrowa.

Odpowiadam w ich imieniu przyrzeczeniem.

Zenon.

Tak... dziękuję.... (*chwytając się za piersi konwulsyjnie*). Niech Wam Bóg szczęści (*umiera*).

Lutowidzki.

Ratunku!... On zemdlał... (*podnosząc*

go). Boże!... On nie żyje!... A ja jestem jego zabójcą!... (*śmiejąc się dziko*). I wy bezczynnie tutaj stoicie... nie rozszarpacie mego ciała w kawałki... Tak! wy nie chcecie splugawić waszej broni krwią synobójcy, — Renegata! Kata waszych ojców i synów! (*zakrywając twarz rękami — przeciera oczy*). Gdzie jestem? Widzę tam żony pokryte żałobą, dzieci błagające litości dla katowanych więźniów — (*idąc bezprzytomnie do Dąbrowy*). Czego chcesz odemnie? przyszedłeś szukać zemsty?!! Weź ją, spiesz się.... lecz nie patrz się na mnie.... Jeszcze tam stoisz?! ja się Ciebie boję.... (*trzęsąc się przyciska do muru*). Czaszki śmieją się szyderczo.... a kościo trupy wznoszą się i kroczą ku mnie. — Tak to wy!... wy niewinne ofiary!... Renegatem jestem! zbrodniarzem!.... zawiniłem!... darujcie!... przebaczcie!... (*pada bezprzytomny*).

Kosynier.

Rozćwiartować w kawałki.

Dąbrowa.

Zostawcie — Bóg ukarał go straszniej! a sprawiedliwość tam już jest wymierzoną!...

Zasłona spada. — Koniec.